IGNAT HERRMANN.

Ten nicpoń Miodzik!

Przypominam sobie doskonale pana Miodzika z tych czasów, kiedy pod światłym kierunkiem nauczyciela Stieglica rozpoczynałem zdobywanie wiedzy od elementarnych podstaw.

Pan Stieglic, człowiek zewszechmiar godzien szacunku i zaufania, przebywał bardzo często w towarzystwie pana Miodzika i tego w żaden sposób zrozumieć nie mogłem, gdyż ilekroć spotykałem pana Miodzika, idąc z memi siostrami, ciotkami lub ich przyjaciółkami, widziałem, jak lekceważąco odpowiadały na jego uniżony ukłon i słyszałem niezmiennie to samo powiedzenie:

— To ten nicpoń Miodzik!

Kiedyś odważyłem się spytać najmłodszej siostry, jakim czynem zdobył sobie przyjaciel mego zacnego nauczyciela opinję nicponia.

— Unieszczęśliwił Kruszynów! — krzyknęła w świętem oburzeniu, ale wnet opamiętała się i dodała:

— Ty tego jeszcze zrozumieć nie możesz...

Było to dawno. Dzisiaj znam dobrze historję, która zyskała panu Miodzikowi przydomek nicponia, ale przyznać muszę, że „zrozumieć" jeszcze i teraz tego nie mogę więc opowiem wszystko, tak, jak było. Może ktoś przecież mi wyjaśni, dlaczego pan Miodzik jest nicponiem?

Kiedy piękna pogoda wywabiała mieszkańców naszego miasta hen, daleko, za rogatki, cała „śmietanka" zbierała się w zajeździe u podnóża góry Zamkowej, odległej o godzinę drogi. Stoliki na werandzie i w ogródku były co niedziela szczelnie obsadzone, tak, że nie znajdując wolnych, znajomi dosiadali się — a nieznajomi często zapoznawali. W ten to właśnie sposób zapoznali się pewnej niedzieli państwo Kruszynowie z panem Miodzikiem.

Podczas rozmowy przy białej kawie z kożuszkiem okazało się, że pan Miodzik odniedawna zawitał w naszem miasteczku i objął posadę buchaltera filji stołecznego banku, że państwo Kruszynowie namiętnie lubią preferansa, ale grywają rzadko, bo nie mają trzeciego partnera, nie mogąc przez wzgląd na dorosłą córkę któregoś z lekkomyślnych graczy miasteczkowych zaprosić do swego domu, że pan Miodzik jest zawołanym preferansistą i również nie grywa, nie chcąc spędzać wieczorów w zadymionym pokoiku restauracji, w której zbierają się czciciele zielonego stolika; że pan Kruszyna jest w ciągu całego tygodnia zajęty prowadzeniem swej fabryki mydła — ale w soboty po południu już zaczyna odpoczywać.

A wynikiem tej przygodnej znajomości i chaotycznej rozmowy było, iż odtąd pan Miodzik zjawiał się co sobota w gościnnym domu państwa Kruszynów, opowiadał ploteczki miejscowe i nowinki, wyczytane w gazetach, zjadał smaczną kolację, przygotowaną przez milutką pannę Lolę i grał z gospodarzem w preferansa do dziesiątej wieczorem. Z uderzeniem tej godziny podnosił się z wygodnego, bordo pluszem krytego foteliku, żegnał się serdecznie i udawał do swego kawalerskiego zacisza.

Państwo Kruszynowie po jego odejściu chwalili zawsze przez kilka chwil układność, takt, solidny tryb życia i rozsądek pana Miodzika, („tak rzadkie w dzisiejszych czasach u młodego człowieka zalety!") a panna Lola spuszczała wtedy główkę nad kanwową robótką, albo chowała konfitury na dolne półki kredensu.

Tak minął blisko rok. Kiedy nadszedł dzień imienin pana Miodzika, panna Lola podarowała mu własnoręcznie wyhaftowaną na morowej wstążce zakładkę do książek i upiekła słodkie migdałowe rogaliki do odświętnej kolacji. To też pan Miodzik umiał się zrewanżować i w dzień imienin panny Loli przysłał jej piękny krzak kamelji, a podczas kolacji (również odświętnej) powiedział piękny toast...

Po roku pan Miodzik otrzymał na imieniny haftowane pantofle, a panna Lola wachlarz z kości słoniowej...

Na trzecie imieniny dostał pan Miodzik ręcznie wypaloną szkatułkę na karty, a panna Lola porcelanową bombonierkę z różnokolorowemi pomadkami...

Partje preferansa odbywały się z niezmienną regularnością, a po za tem pan Miodzik towarzyszył państwu Kruszynom w lecie na wycieczki do zajazdu pod Zamkową Górę, a w zimie na bale w miejscowem stowarzyszeniu śpiewaczem lub strzeleckiem.

Dziwił się tylko pan Miodzik niebywale, że panna Lola, taka ładna, miła, gospodarna i posażna, nie miała starających, a gdy nawet jakiś młodzieniec usiłował jej asystować, przyjmowała to z odpychającą obojętnością, zaś pani Kruszynowa wręcz dawała do zrozumienia, że jej te zaloty nie po myśli.

— Czyżby chcieli dziewczynę oddać do klasztoru? — zapytywał się nieraz w duchu.

I dziwił się jeszcze pan Miodzik pytającym, badawczym, wyczekującym nieledwie spojrzeniom, jakiemi obrzucali go coraz częściej państwo Kruszynowie, a nawet cicha panna Lola...

Minęło jeszcze sześć wzajemnych podarków imieninowych. Panna Lola zbliżała się do trzydziestki, pan Miodzik do czterdziestki. Pan Kruszyna był podczas partji preferansa coraz bardziej małomówny, pani Kruszynowa coraz bardziej roztargniona.

Pewnej soboty, właśnie kiedy pan Miodzik doprowadzał do świątecznego wyglądu swą garderobę, aby udać się do państwa Kruszynów, zapukał do jego drzwi pan Kruszyna we własnej osobie. Pierwszy to raz zjawiał się u pana Miodzika, ale ten, zawsze zrównoważony i taktowny, nie okazał ani zdziwienia, ani radości, tylko uprzejmie spytał, czem może mu służyć.

Zacinając się, jąkając i czerwieniąc, wykrztusił wreszcie pan Kruszyna:

— Co pan właściwie zamierza?

— Zamierza? Z czem?

— Z moją córką, oczywiście. Z Lolą.

Pan Miodzik spojrzał na swego rozmówcę osłupiałym wzrokiem. Pan Kruszyna szepnął wtedy:

— Proszę pana, to trwa przecież już ładnych parę lat.

Panu Miodzikowi wystąpiły na skroniach krople potu.

— Co trwa parę lat?

— A to, że pan chodzi z nami... to jest... z moją córką... chcę powiedzieć... z nami i z moją córką... I uważam, że gdyby pan chciał, to mogłoby się już dawno skończyć, a co się tyczy posagu, chętnie służę panu wyjaśnieniami...

Pan Miodzik umknął oczami od załzawionych ze wzruszenia oczu pana Kruszyny i wolno powiedział:

— Ależ ja chodziłem tylko na preferansa, panie Kruszyna. Ja o niczem innem nie myślałem...

Pan Kruszyna potoczył dokoła błędnym zmartwiałym wzrokiem, przeciągnął dwakroć dłonią po czole, głęboko odetchnął, jakgdyby mu ktoś ścisnął gardło i rzucił do siebie samego:

— A myśmy odpalili sześciu konkurentów.

Pan Miodzik nie odrazu odpowiedział. Poprawił złote binokle, zapiął dolny guzik marynarki i wreszcie szepnął, jakby przez sen:

— To szkoda! Tego nie powinni państwo byli robić...

* * *

Tego wieczora nie było partji preferansa. Nazajutrz pan Miodzik otrzymał mały bilecik i zrozumiał, że partyj preferansa już wogóle nie będzie. Panna Lola wyjechała wkrótce potem na dwa tygodnie do Pragi, żeby się rozerwać i uspokoić.

Odtąd mówiono w miasteczku o panu Miodziku, że jest to nicpoń, który unieszczęśliwił Kruszynów. A przecież pamiętam dobrze jaki dobroduszny, łagodny, niemal tępy wyraz twarzy miał „ten nicpoń Miodzik".

Tłum. Ir.

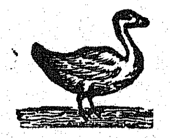

Redaktor **Klemens Orchulski.**

Odbito w drukarni **„Kurjera Łódzkiego".**

Łódź w ilustracji

DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO".

Rok V. **Łódź, dnia 27 maja 1928 roku.** № 22.

Ze zjazdu gwiaździstego do Łodzi.

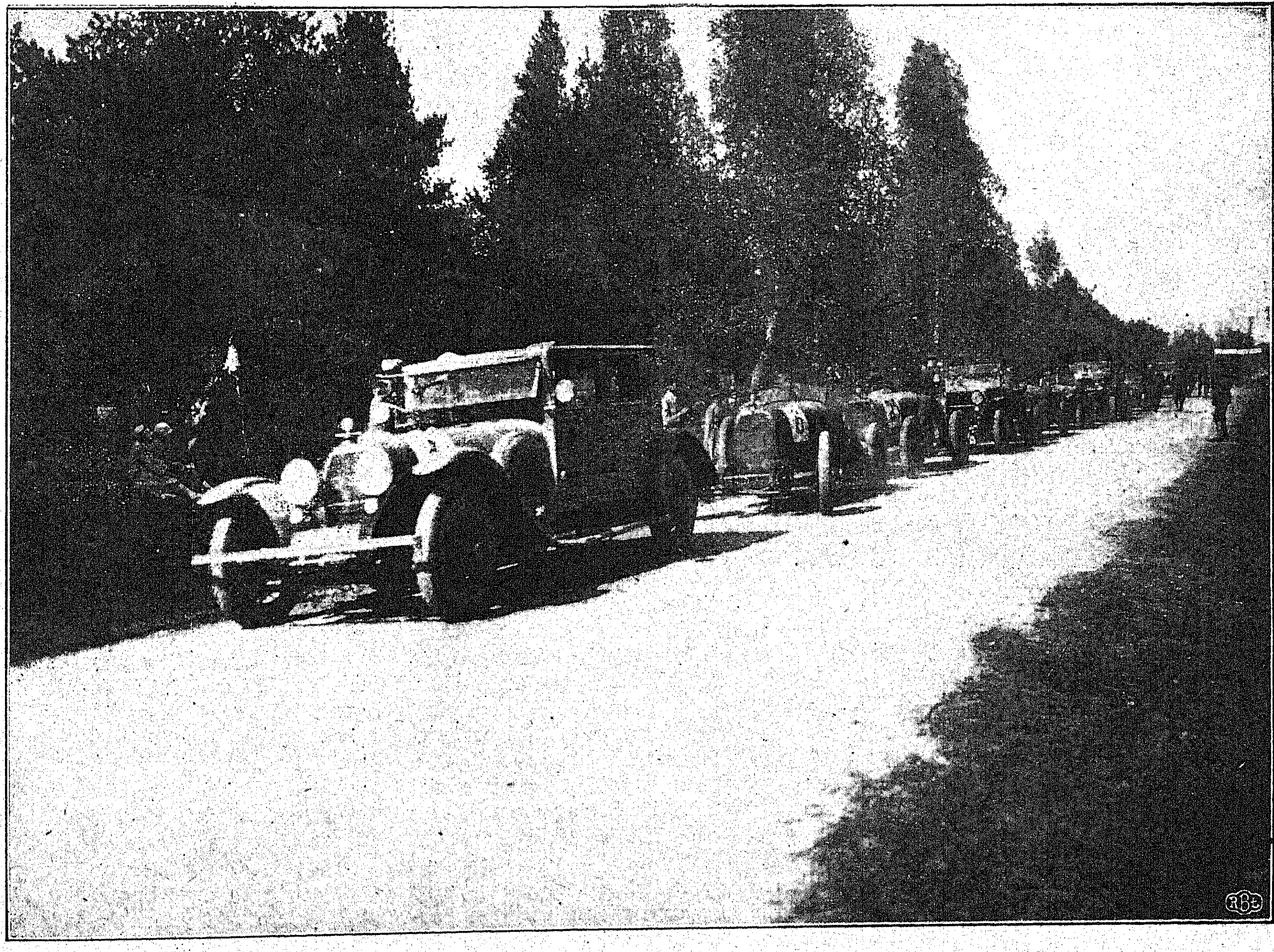

Łódź w ubiegłą niedzielę wyglądała jak Detroit w miniaturze. Miasto kominów przez zjazd gwiazdzisty zmieniło swe codzienne oblicze, bowiem na ulicach od rana do późnej nocy warczały motory Buików, Cadillac'ów, Fordów, Citroenów i tym podobnych rumaków benzynowych.

W godzinach popołudniowych wszystkie, biorące udział w zjeździe, auta ruszyły na szosę Aleksandrów—Lutomiersk, gdzie w obecności tysięcy spragnionych emocjonującego widowiska łodzian rozpoczęły się popisy i wyścigi. Wspaniale prezentował się długi sznur kolorowych aut, mknących wśród zieleni drzew przydrożnych. Fot. A. Meyer

TEATRALJA.

Rzadki jubileusz. — Zgon Franciszka Curela. — Nowości zagraniczne. — Samobójstwo w teatrze. Dostojewskij w... operze.

W tych dniach odbyło się 500-ne, jubileuszowe, przedstawienie opery objazdowej, założonej przez dr. Tadeusza Wierzbickiego w r. 1925 i prosperującej dotychczas pod kierownictwem tego utalentowanego artysty i administratora. Święto dzielnego zespołu wypadło w Kaliszu, a grano tego wieczoru popularną „Traviatę" Verdi'ego, z udziałem własnych chórów i orkiestry.

Jak pożytecznie spełnia swe zadanie artystyczne opera objazdowa, założona głównie z myślą o naszych Kresach Wschodnich i Zachodnich, o tem świadczyć może fakt trzykrotnego już odwiedzenia 185 miast i miasteczek na całej dosłownie przestrzeni Rzeczypospolitej Polskiej, od Pucka do Śniatynia i od Zbąszynia do Łunińca. Przestrzeń, przejechana kolejami żelaznemi w ciągu trzech lat istnienia imprezy wynosi 25.648 klm. Do repertuaru opery objazdowej wchodzą: „Halka", „Faust", „Żydówka" i „Traviata", z którą największą ilość przedstawień (187) osiągnęła dotychczas „Halka". Mimo, że impreza utrzymuje 35 osób personelu artystycznego i technicznego i posiada własne kostjumy, rekwizyty i dekoracje, obywa się ona całkowicie bez subwencyj rządowych, czyli jest bodaj jedynem w polsce przedsiębiorstwem teatralnem — samowystarczalnem. Przypomnieć należy, że opera objazdowa odwiedzała m. in. i nasze miasto, ujawniając w swych widowiskach bardzo poważny, zwłaszcza jak na zespół wędrowny, poziom artystyczny i dużą staranność inscenizacyjną. Operze dr. Wierzbickiego, z okazji jubileuszu, życzymy dalszych sukcesów, również zainteresowania i opieki ze strony czynników, powołanych do utrwalania kultury polskiej na Kresach Państwa.

Zmarł niedawno w Paryżu jeden z najwybitniejszych dramaturgów francuskich starszego pokolenia, członek Akademji — Franciszek Curel. Z pośród licznych sztuk jego, jak „La nouvelle idole", „Fille sauvage", „Coup d'aile", „Le repas du lion', i t. d., największem powodzeniem cieszyły się „Uczta lwa" oraz „Uderzenie skrzydeł"; ta ostatnia powstała podczas wojny i zabarwiona jest wyraźną tendencją patrjotyczną. Nie brak jej również w powojennej sztuce Curel'a p. t. „La viveux et la moribonde", granej z dużem powodzeniem w teatrze Antoine'a. Treścią tej sztuki są duchowe przeżycia uczestnika wojny, wykolejonego przez nią z orbity spokoju i równowagi; bohater szuka początkowo ucieczki przed dręczącemi go pytaniami i wątpliwościami w naukach przyrodniczych, gdy zaś i tu wytchnienia nie znajduje, dąży po nie w ciche mury klasztoru. Curel był francuskim „kresowcem", gdyż pochodził z rodziny lotaryńskich przemysłowców. Znał dobrze literaturę i filozofję niemiecką i pozostawał nawet przez pewien czas pod wpływem twórczości Gerhardta Hauptmanna.

P. Jadwiga Smosarska, królowa ekranu polskiego, występuje z dużem powodzeniem na scenie Teatru Miejskiego w Łodzi w komedji W. Fodora p. t. „Małgorzata z Nawarry".

Znany pisarz sceniczny, raczej paryski niż francuski, Henri Bernstein wystawił w teatrze „Gymnase" najnowszą swą sztukę p. t. „Sekret". Akcja jej dość oryginalna acz nieskomplikowana obraca się wokół intryg pewnej kobiety, która z zazdrości psuje podstępnie harmonję miłosną pomiędzy dwojgiem kochanków. Sztuka jest skrojona dobrze, grana wyśmienicie; szkoda tylko, że autor przeładował swój „Sekret" psychologją dość wątpliwego gatunku. P. Bernstein ma wogóle szczęście, a zatem pieniądze i popularność. Grana poprzednio w tymże teatrze sztuka jego p. t. „Le vénin" („Jad") odniosła sukces — jak na Paryż — ogromny, a przeniesiona następnie na grunt berliński (występy gościnne artystów francuskich), doznała tu niemniejszego powodzenia. Duża część tego powodzenia jest zresztą zasługą dwóch pięknych i utalentowanych aktorek paryskich, odtwarzających role główne, pp. Gaby Morlay i Yvonne de Bray.

Z innych nowości bieżącego sezonu, wystawianych w kilkudziesięciu teatrach nadsekwańskiej stolicy, wspomnimy dziś jeszcze o zręcznej komedji spółki autorskiej pp. Mouezy-Gon'a i Chaine'a p.t. „Rien que nous deux" („Tylko nas dwoje"). Jest to sobie dość miła i bezpretensjonalna historyjka o niedoszłej zdradzie małżeńskiej żony pewnego urzędnika, gotowej poświęcić się dla karjery męża. Początki były oczywiście bardzo niewinne; ot — lekki flircik z szefem męża celem skłonienia dygnitarza do łaskawych względów w sprawie awansu. Niewiele jednak już brakowało do „żałosnego końca" romansowej intrygi niedoświadczonej, a kochającej zresztą męża — bohaterki, i tylko dobrodusznie-sprytna interwencja jakiegoś poczciwego prowincjonalnego proboszcza zdołała niemal w ostatniej chwili uratować sytuację.

Jeden z teatrów niemieckich wystawił nową sztukę Hellmuta Ungera p. t. „Legenda o śmierci". Dziełem, które zapłodniło wyobraźnię autora „Legendy", jest wzruszające opowiadanie Selmy Lagerloef o „Woźnicy śmierci". Z podrzędnej postaci opowiadania „woźnicy śmierci" — Dawida Holma uczynił Unger postać naczelną swego dramatu. Zadaniem Holma, pomocnika śmierci, jest na jej rozkaz wołać ku ofiarom: „Wychodź z swego więzienia, biedna duszo!". Holm czuje swą moc, gdy wypełnia śmiertelny rozkaz wobec bogatego kupca, który go niegdyś wypędził; „woźnica śmierci" załamuje się jednak, gdy fatalne słowa przeznaczenia wyrzec musi do dziewczyny, którą kocha, do swego dziecka, do swojej matki. Miłość i dobroć budzą się wówczas w zczerstwiałem sercu Holma; radość go opanowuje, gdy widzi, że cała historja „woźnicy śmierci" jest w istocie tylko krótkiem sennem marzeniem. Holm staje się odtąd innym, odrodzonym człowiekiem. — Sztuka Ungera, posiadająca żywą i zajmującą akcję oraz sporo zalet literackich, spotkała się z bardzo życzliwem przyjęciem.

W Nowym Jorku wystawiono niedawno nową sztukę głośnego O'Neilla, p. t. „Marco Miljon". Jest to dramatyczna parafraza przygód podróżnika weneckiego Marca Polo, której głównym motywem jest miłość mongolskiej księżniczki Kukaszin do wenecjanina.. Dziwny tytuł sztuki ma związek z przydomkiem, nadanym Marcowi przez współziomków, z powodu nadużywania jakoby przezeń w opisach podróży sum „miljonowych".

Niezwykły a tragiczny wypadek zdarzył się w tych dniach w moskiewskim Teatrze Wielkim. Oto, podczas przedstawienia, rzuciły się na scenę z galerji 4 piętra dwie młode uczenice teatralnego studjum, a runąwszy z wysokości 22 metrów — poniosły śmierć na miejscu. Jak podają dzienniki moskiewskie, jest to już w roku bieżącym piąty wypadek samobójstwa, popełnienego w Teatrze Wielkim. Charakterystyczne, że ofiarami we wszystkich tych wypadkach jest młodzież ze sfer artystycznych, co nie świadczy dodatnio ani o młodej „awangardzie" sowieckiej, ani o warunkach życia i kształcenia się w Bolszewji.

Opera państwowa w Leningradzie (Petersburgu) wystawia w niedalekiej przyszłości operę p. t. „Gracz", której libretto zaczerpnięte zostało ze znanej powieści Dostojewskiego pod tymże tytułem. Autorem muzyki jest głośny modernista rosyjski, kompozytor Sergjusz Prokofjew. Opera budzi zrozumiałe zainteresowanie. **Delta.**

Zjazd gwiaździsty do Łodzi.

Na finishu. Maszyna p. Buhlego (Hispano-Suiza) zdobyła I nagrodę w biegu limuzyn.

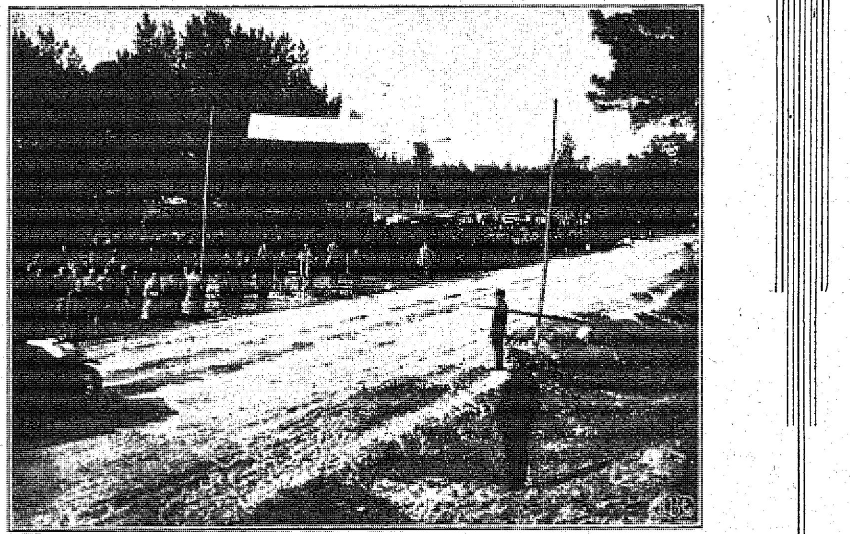

Pierwszy zwycięski samochód u mety.

W dniu 13 b. m. w Konstantynowie odbyło się poświęcenie sztandaru towarzystwa śpiewaczego „Lutnia". Na zdjęciu moment odczytywania sprawozdania z działalności towarzystwa. Fot. A. Meyer.

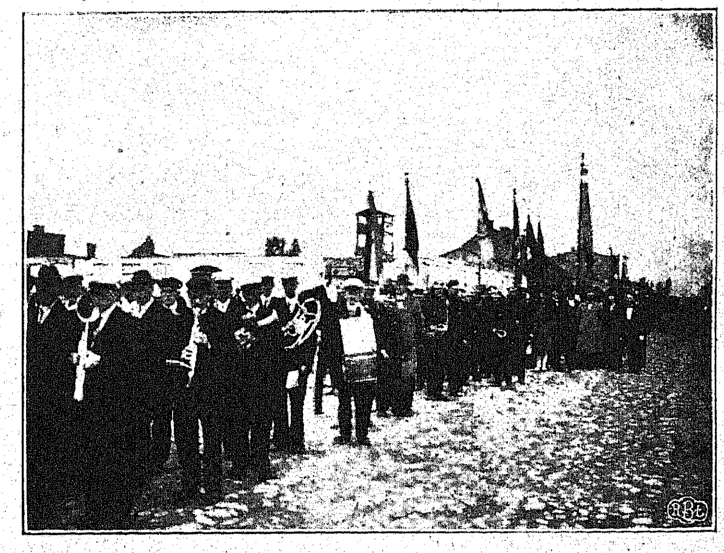

Z uroczystości niedzielnych w Konstantynowie. Uformowany pochód w drodze do kościoła.

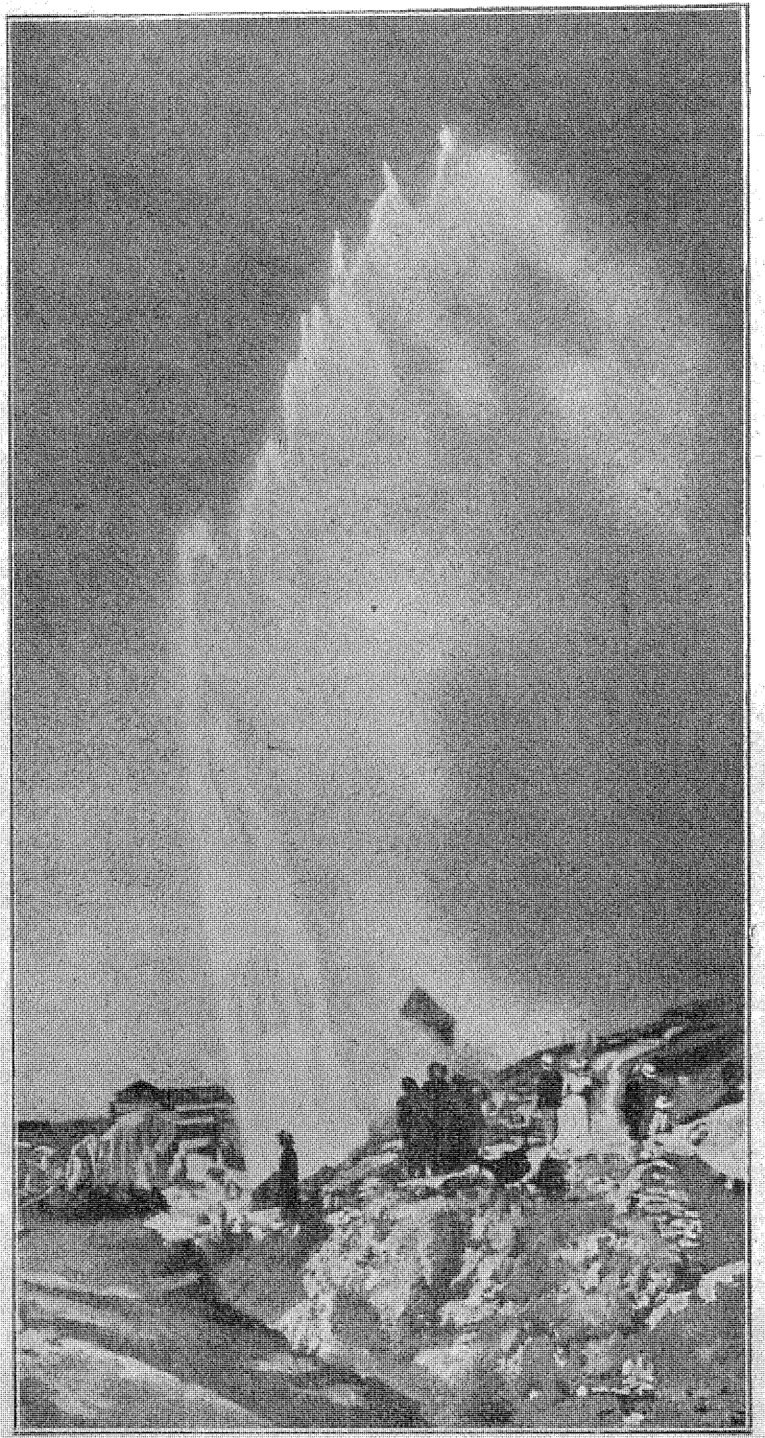

Wielki geizer Mairon w Whakarewarewa pod Kotorną.

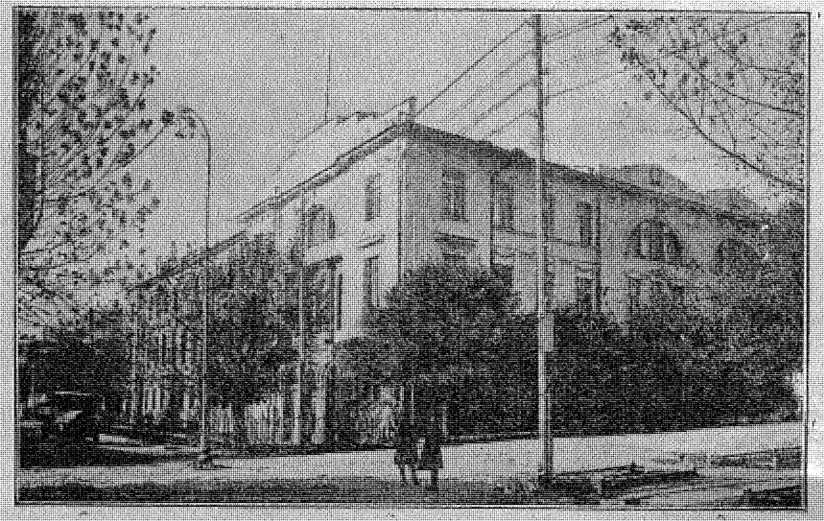

Gmach dzisiejszego litewskiego „Banku Państwa" w Kownie.

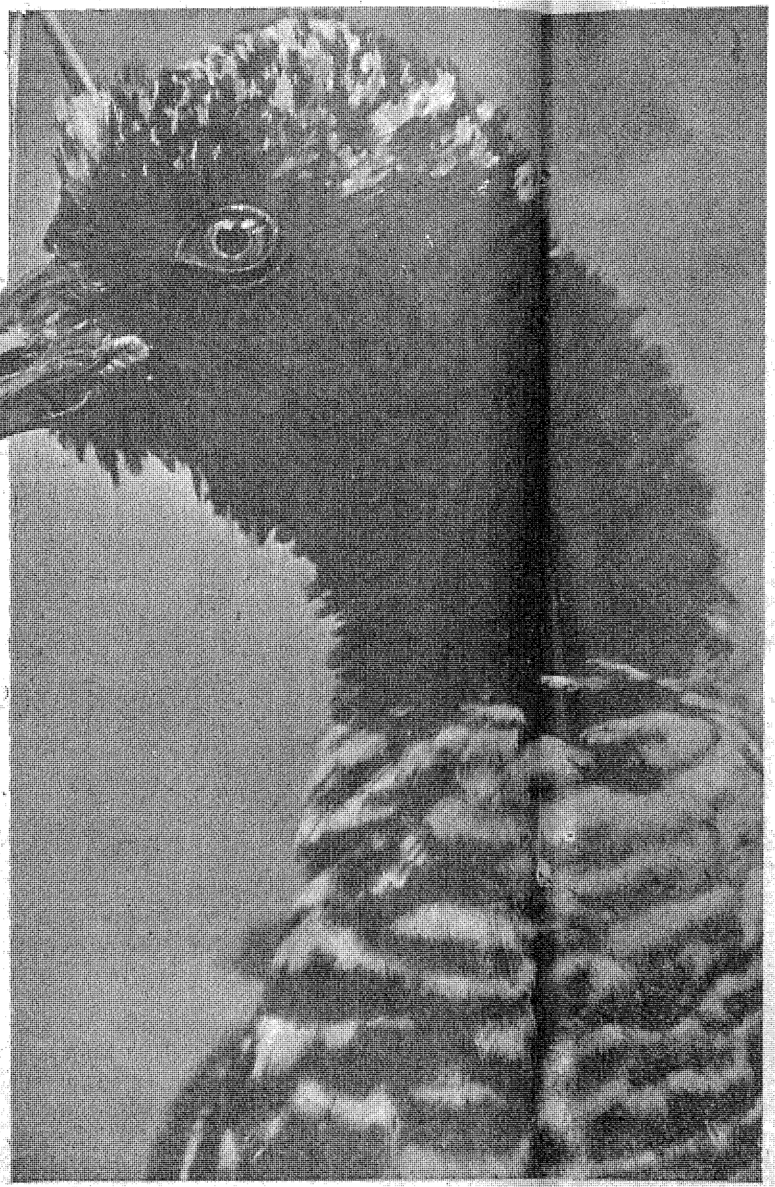

Drapieżny „krzykacz" z Południo Ameryki.

Sally Blune, nowa gwiazda filmowa.

Clow w świetnym filmie p. n. „Hula".

„Syrena" Maliszewskiego w Teatrze Wielkim w Warszawie. Zdjęcie nasze przedstawia fragment baletowy aktu I — taniec srebrnych rybek.

Mieszkanki gór albańskich w swych strojach narodowych na ulicach Tirany.

Ze sportu.

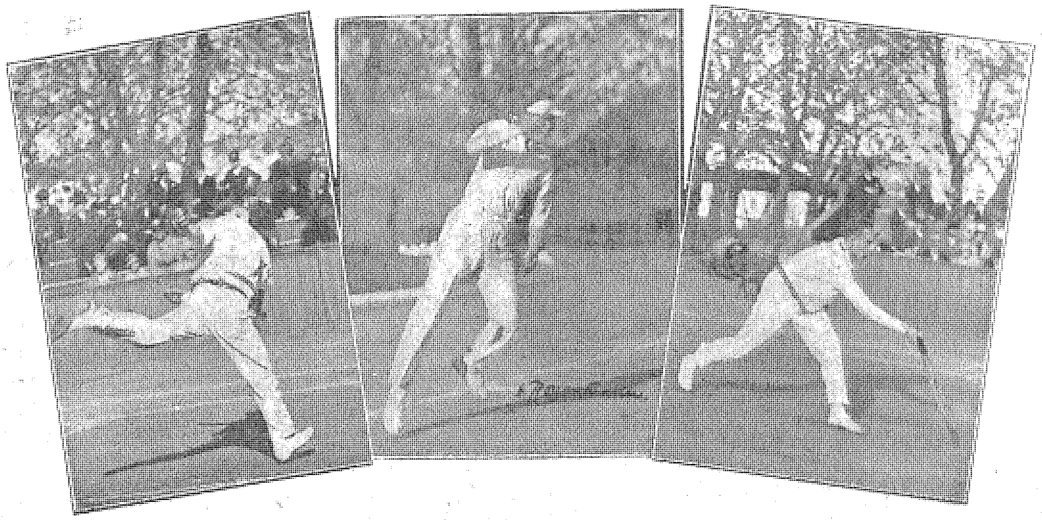

Nasi reprezentanci w tennisie: M. Stolarow, P. Warmiński i J. Stolarow.

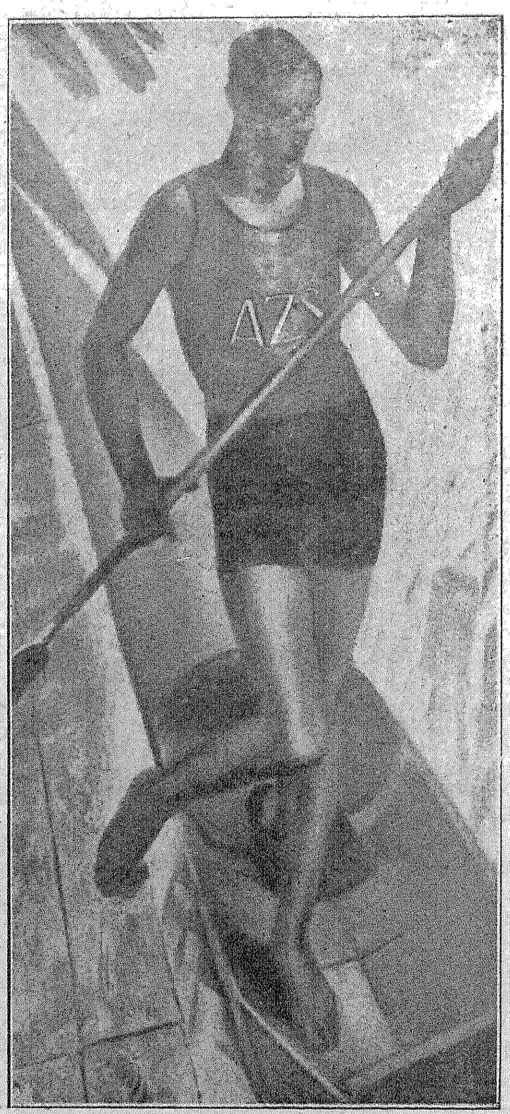

Z wystawy sportowej w salonie Zw. Plastyków.

Koszutski (Kalisz) w czasie treningu.

„Il. Champio unitiano“ Girardengo.

Szpital dziecięcy Anny Marji w Łodzi.

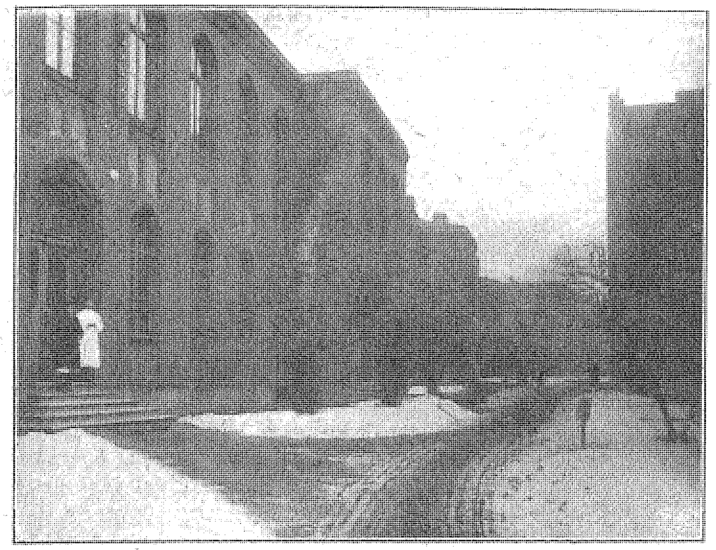

Kompleks pawilonów szpitalnych zimą.

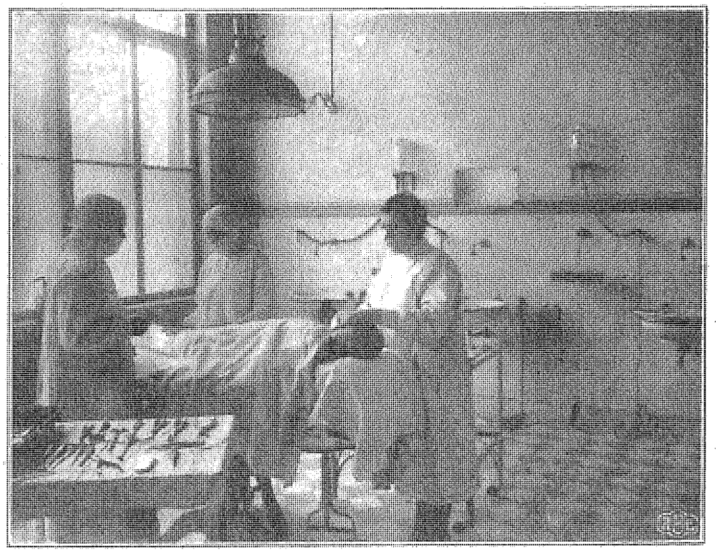

Sala operacyjna. Zdjęcie przedstawia moment przed amputacją nogi.

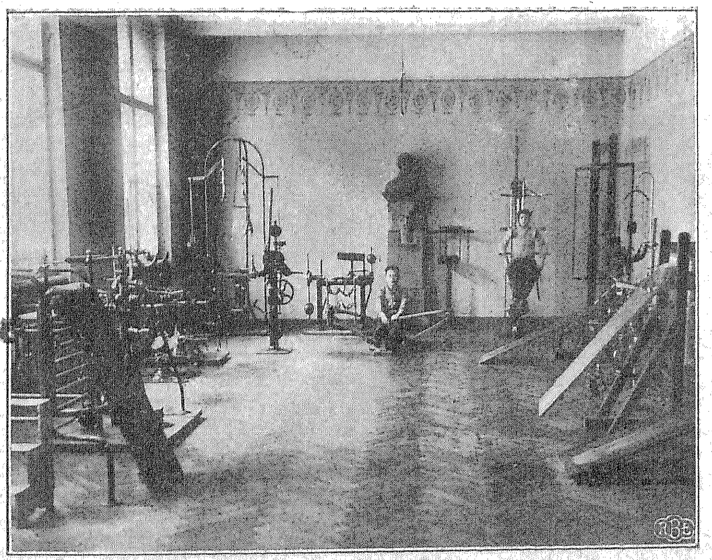

Wzorowo urządzona sala ortopedyczna.

Fragment sali ogólnej oddziału wewnętrznego szpitala.

Niemowlęta w ogrodzie. Za łóżeczkami dziecięcemi personel lekarski szpitala z długoletnim lekarzem naczelnym, dr. Mogilnickim. (×)

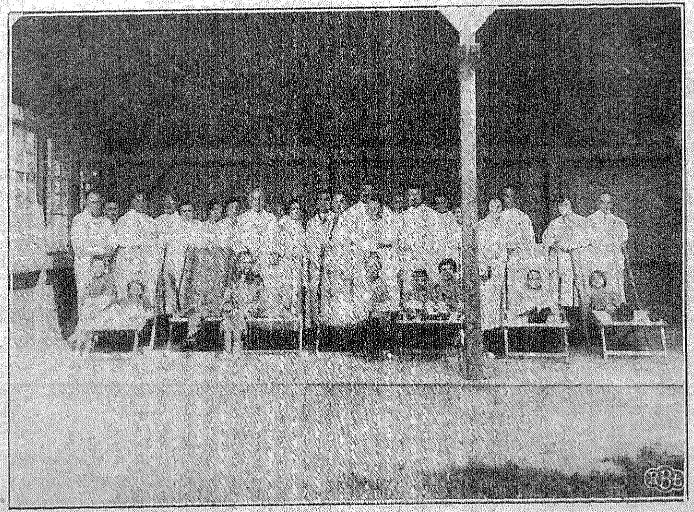

Weranda dla dzieci gruźliczych.

FRYDERYK BOULET.

W pułapce.

— Proszę pana, jakiś pan z Paryża pragnie mówić z panem w pewnej, filantropijnej sprawie.

— Dobrze, niech wejdzie — odparł pan Blestat, złożył gazetę, strząsnął popiół z cygara w ogień kominka i zagłębił się w swym fotelu.

Do gabinetu wszedł wysoki, blady, wynędzniały, siwy mężczyzna.

— Pan ma wspaniały dom — odezwał się swobodnie, siadając na krześle, wskazanem mu przez pana Blestata — najpiękniejszy w całem mieście. A co za ogród. Istny raj! Pański salon, przez który tylko co przechodziłem...

— Może pan będzie łaskaw wymienić mi powód swej wizyty? — przerwał mu pan Blestat.

— Ach! Filantropijna sprawa? Nie będziemy o niej mówili, kochany panie! To był tylko pretekst, ażeby mię pan przyjąć raczył! Tu chodzi o co innego zupełnie! Trochę cierpliwości, a zaraz mię pan zrozumie! Pan jesteś ojcem pana Feliksa Blestata, zaręczonego z panną Klarą Verraline? Ślub ma się odbyć niebawem? Urocza dziewczyna, posażna, ustosunkowana! Jej ojciec, pan Verraline jest człowiekiem bez skazy, prawego, nieposzlakowanego charakteru...

Pan Blestat poruszył się niecierpliwie w fotelu:

— Ja znam również dobrze jak kto inny zalety pana Verralina...

— Dobrze, dobrze, kochany panie! A jak pan myślisz, coby on o pańskim bracie Auguście sądził?

Pan Blestat drgnął i zbladł jak trup.

— Zwracam z punktu pańską uwagę, że jestem w tym wypadku pośrednikiem. Ludzie, którzy mię tu przysłali, mieszkają w Paryżu i... znali pańskiego brata. Wiedzą... tak, tak! Wiedzą o wszystkiem.. O jego skandalach w Nantes, w Paryżu, potem w Bordeaux: o fałszerstwie weksli, oszustwie, sądowej sprawie, wyroku... więzieniu... To prawda, że historja stara, z przed dwudziestu laty i że pański brat umarł w więzieniu. Ale są ludzie, którzy o tem nie zapomnieli i wybrali właśnie ten moment, ażeby mię do pana przysłać z trzema następującemi pytaniami: Czy pan Verraline wie, że pański brat odsiadywał więzienie? To jest pierwsze pytanie. Dalej — czy pan Verraline zgodziłby się na wydanie zamąż córki za pańskiego syna, gdyby o tem wiedział. Oto drugie pytanie. Wreszcie — ile dajesz pan za milczenie? Trzecie i ostatnie pytanie.

Proszę wymienić swoją cyfrę, ja później podam moją, to jest tę, którą mi polecono panu podać, ponieważ jestem tylko pośrednikiem...

Długie milczenie.

— Kto pan jesteś? Spytał wreszcie Blestat ochrypłym głosem.

— Byłem jednym ze świadków podczas rozprawy sądowej biednego Augusta. W ostatnich czasach... tak się złożyło... że często myślałem o panu... Dowiedziałem się, że pan jest bogatym i wielkim przemysłowcem tutaj... dano mi pieniądze na drogę...

Wobec tego jednak, że pan swojej ceny powiedzieć nie chce, oto cyfra, którą zainteresowani od pana żądają: sto tysięcy franków! Okrągłe sto tysięcy. Nieznaczna suma dla człowieka... który jest tak bogaty... Nie mówmy już dzisiaj o tem. Przyjdę jutro po odpowiedź. Jeśli będzie „nie", opowiem całą historję o biednym Auguście panu Verralinowi... Mam nadzieję, że mi za moje trudy podziękuje...! Jeżeli zaś odpowiedź pańska będzie brzmiała „tak"... w co nie wątpię... kochasz pan wszakże swego syna... i cenisz cokolwiek poważanie u ludzi... — wówczas... inkasuję pieniądze i wyjeżdżam najbliższym pociągiem. Wszyscy będą zadowoleni. Wesele się odbędzie i o mnie nie usłyszysz pan nigdy więcej... Daję panu na to słowo honoru! —

Kulminacyjny moment wielkiego filmu p. t.: „Chata Wuja Toma".

zakończył z wielką powagą, poczem skłoniwszy się zupełnie swobodnie, opuścił pokój, nie czekając na odpowiedź.

Pan Blestat siedział w fotelu z wygasłem cygarem między palcami. Był bardzo przybity. Lepiej jeszcze od bezwstydnego swego gościa wiedział, jakie wrażenie wywołają tego rodzaju rewelacje w tym małym prowincjonalnym światku, którego głową był pan Verraline bezsprzecznie. Pomyślał o ukochanym synu swoim Filipie, ubóstwiającym Klarę Verraline... Z pośród nich wszystkich zaś wyłaniał się groźny cień więźnia, wywołany przed chwilą przez łotra, którego próby wymuszania pieniędzy powtarzałyby się niewątpliwie bez końca, gdyby im pan Blestat tym razem uległ.

Tak rozważając pan Blestat wstał wreszcie, włożył palto i kapelusz, poczem szybkim, zdecydowanym krokiem wyszedł z domu.

W kwadrans potem siedział naprzeciwko pana Verralina, mężczyzny o pańskim wyglądzie i stale uśmiechniętem, a jednak pełnem godności obliczu, który, stojąc oparty o kominek w swoim gabinecie, słuchał swego rozmówcę uważnie. Pan Blestat wyznał mu całą prawdę bez ogródki.

— Dlaczegoś mu pan nie dał tych stu tysięcy franków? — zapytał pan Verraline po długiem milczeniu.

— Mówiłem już panu: ponieważ robiłby napewno w dalszym ciągu próby wymuszania ode mnie pieniędzy, i przyszedłem do przekonania przytem, że źle zrobiłem, ukrywając przed panem sprawę mego brata.

— Nie dla samej kwoty zatem?

— Nie. Suma ta nie gra roli. Wolałbym trzy razy więcej zapłacić, żeby... Zdania: „żeby uniknąć upokorzenia, którego w tej chwili doznaję" pan Blestat nie dokończył.

— Dobrze robisz, kochany przyjacielu, że nie dajesz się ze skóry obdzierać, choć jesteś bardzo bogaty. Nie ukrywam wszakże przed tobą, że cała ta historja nie jest dla mnie przyjemną. Zbyt jednakże cenię ciebie i twego syna, ażeby sprawa brata twego mogła na was cień rzucić. Kiedy oszust jutro zgłosi się do ciebie, wyrzuć go za drzwi i zagroź mu policją. Ja zrobię to samo, jeśli do mnie przyjdzie. Nie ośmieli się wówczas plotkować po mieście. Któż by mu bowiem uwierzył, gdy ja, Hipolit Verraline, publicznie zarzucę mu kłamstwo?

Panu Blestat otucha wróciła do serca.

— Dzięki! Najserdeczniejsze dzięki! — zawołał pełen wdzięczności.

— Ależ za co? Uspokój się, kochany przyjacielu! Za co? — odparł pan Verraline dobrodusznie. — Nie mówmy więcej o tem... Ślub zatem został wyznaczony na początek przyszłego miesiąca — ciągnął dalej z niezmąconym spokojem.

— W tej sprawie właśnie chciałem z tobą pomówić, przyjacielu. Chodzi o posag Klary. Na skutek nieprzewidzianych okoliczności mam chwilowe trudności pieniężne. Nie będę mógł dać takiej sumy, jak zamierzałem, a nie chciałbym, żeby dzieci były pokrzywdzone. Liczę na ciebie przyjacielu, że mię wyręczysz i dasz te sto tysięcy franków, których mi brak... Dla ciebie zresztą jest to suma nieznaczna... Nie będziesz miał z nią kłopotu, nieprawdaż? — zakończył tonem, niedopuszczającym odmowy.

— Żadnego, naturalnie, że nie, — wyjąkał pan Blestat, któremu, mimo osłupienia, udało się uśmiechnąć.

Redaktor Klemens Orchulski.

Odbito w drukarni „Kurjera Łódzkiego".

Łódź w ilustracji

DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO".

Rok V. Łódź, dnia 3 czerwca 1928 roku. № 23.

Łódź sportowa w barwach Ł. K. S.

W okresie Zielonych Świątek na boisku Łódzkiego Klubu Sportowego odbywała się dwudniowa walka barw dwu drużyn sportowych, ścierających się na zawodach piłkarskich Ł. K. S. z wiedeńskim klubem „Hertha". Ciekawe zawody obserwowały niezliczone rzesze miłośników piłki nożnej, a wobec dzielnie prezentujących się drużyn i niebo nie pozostało obojętne, skoro w momencie rozpoczęcia fascynującej gry zachmurzony horyzont, rozlewnym blaskiem wyzłociło słońce.

Po zawodach z gościnnie podejmowaną drużyną wiedeńską odbyło się uroczyste wręczenie kwiatów przedstawicielowi gości oraz złotych sygnetów dwu członkom Ł. K. S., Trzmielowi i Jasińskiemu, z okazji jubileuszowego ich wystąpienia w 200 setnych zawodach w barwach klubu.

Powyżej uczestnicy obu drużyn, Ł. K. S. i „Hertha". Fot. A. Meyer